

PLANETA ZGROZY.

Tłum. MARYA SEGENY.

11

W jednej chwili, jak gdyby za dotknięciem różdżki czarodziejkiej, Erlooisy, jęcząc i wyjąc z przerażenia, odstąpili mnie. Unieśli się nad ziemię, próbując ucieczki i jak gigantyczna chmura zeszlých liści, gnana wiatrem w rozterce szalonej, krążyli wokoło podziemia, trzępiąc rozpaczliwie skrzydłami, nie mogąc znaleźć wyjścia przed napływem blasku, rażącego śmiertelnie ich oczy.

Wobec tej nagłej, nieprzewidzianej pomocy odzyskałem trochę sił i odwagi. Uzbrowiwszy się w kawał żelaza, znalezione na ziemi, szedłem ku temu zbawiennemu światłu, uderzając wściekle we wszystko, co mi się pod rękę nasunęło.

Okrzyk szalonej radości wydarł mi się z piersi, gdy w blasku pochodni poznałem moich pocziwych Marsianów, na których czele szła wierna Eeys.

Pospieszili za mną, aby mnie wbrew woli mojej wyratować, zdołali odkryć moje więzienie i przybyli, aby mnie z niego oswobodzić. Był to ze strony tych cichych, nieśmiałych istot czyn prawie bohaterski, czyn wielkiej odwagi i przywiązania.

Na widok mój wybuchł jeden przeciągły okrzyk radości i zadowolenia, ale nie mieliśmy ani jednej chwili do stracenia. Jeżeli światło, jedyny nasz sprzymierzeniec i obrońca, zagaśnie, byliśmy wszyscy zgubieni. Kilka pochodni zagasło już od wściekłych uderzeń skrzydeł Erlooisów.

Na mój rozkaz nagromadzono szybko w pośrodku podziemia stos gniazd, uwitych z liany i podpalono. Wzniósł się wspaniały, wysoki płomień, oświetlając najmniejszy zakątek sklepienia.

Ogień, symbol umysłu ujarzmiającego materię, tryumfował w całej pełni.

Jak olbrzymie cmy nocne, zwabione zdradliwą jasnością, dziesiątki Erlooisów padały dobrowolnie na rozłożone ognisko z jękiem śmiertelnym. Ci, których nie zniszczyły płomienie, padali pod uzbrojoną ręką moich dzielnych Marsianów.

Widok był straszny, lecz i wspaniały zarazem. Przedstawiało to jakieś okropne sceny z Apokalipsy, oddane mistrzowskim pendzlem uatchnionego artysty. Wysokie, bazaltowe kolumny, ozłoczone płomieniami, dawały bajeczne tło tej widowni mordy.

W krwi, płynącej strugami, odbijał się blask groźnego pożaru, a z ziemi wznosił się tuman mgły rdzawej, obejmujący szatański taniec Erlooisów. Wydających przeraźliwe okrzyki bólu i wściekłości.

Wkońcu musieliśmy opuścić podziemie. Cuchnący dym, bijący w nas ciemnymi falami, utrudniał oddech, a strugi płynącej krwi groziły zagaszeniem pożaru.

Wyszliśmy galeryą, nieznana mi jeszcze i która, jak mi się zdawało, świeżo wykopana została.

W tem miejscu Robert Darvel, znużony i osłabiony, przestał mówić, prosząc przyjaciół o odłożenie opowiadania na kilkanaście minut.

Wrażenie, wywarne na słuchaczach, było tak silne, że w milczeniu przyjęto jego propozycję.

Miss Alberta, blada, wzruszona, ujęła tylko rękę narzeczonego i długą chwilę trzymała w rozpalonych swich dłoniach, obejmując go spojrzeniem, pełnem podziwu i miłości.

Wypiwszy kilka kropel wina, podanego mu przez Cherifę, młody podróżnik rozpoczął dalsze opowiadanie.

Po zwycięstwie.

— Dokąd walczyłem z Erlooisami — mówił dalej Robert Darvel — podtrzymywała mnie jakaś egzaltacja gorączkowa, jak tych Bersekersów z legend skandynawskich, którzy, przejęci świętym ogniem walki, walczyli do upadłego aż do ostatecznego zwycięstwa.

Lecz kiedy poczułem się zdrowym i bezpiecznym, zemdlałem pod siłą przebytych wzruszeń i umęcze-

nia. Omdlenie to pomimo usilnych starań, jakimi mnie otoczyli Marsianie, trwało kilka godzin.

Gdy otworzyłem oczy, ujrzałem Eeys, klęczącą nademną, wpatrzoną we mnie z niespokojną troskliwością, zwilżającą mi skronie wodą.

Przekonawszy się, że odzyskałem przytomność, wydała lekki okrzyk radości, a jej blade oczy, koloru niebieskiego fajansu, zabłyśły żywo. Płakała z zadowolenia, ściskając mnie serdecznie. Niegdyś jej starania życzliwe i ciągła opieka, roztoczona nad moją osobą, niecierpliwiły mnie trochę, szczególnie od chwili, kiedy postanowiła mnie poślubić, ale przynajmniej, że w tej chwili z przyjemnością ucałowałem jej pełne i różowe policzki.

— Tak nas przestraszyłeś — szepnęła z wyrzutem — myśleliśmy już, że cię te potwory pożarły. Ale, widzisz, nie opuściliśmy cię. Przysięgnij mi, że na przyszłość będziesz ostrożniejszym.

— Przysięgam ci — odpowiedziałem, wzruszony tem naiwnem przywiązaniem.

— Nie możesz już nadal zapuszczać się bez nas w te przekłete południowe strony. Erlooisy są jeszcze jednym z mniejszych niebezpieczeństw, jakie tam spotkać można. Ale mam nadzieję, że zostałeś już na zawsze uleczonej z tej ciekawości. Powróćmy do naszego kraju, gdzie będziesz żył spokojnie i szczęśliwie obok mnie.

Z pomiędzy tych wszystkich słów, które wymówiła szybko, jak gdyby bojąc się, abym jej nie prze-rwał, jedno tylko zwróciło moją uwagę.

— Mówisz, że Erlooisy są jednym z mniejszych niebezpieczeństw, spotykanych na południu. Wytłomacz mi, proszę cię, jakiego rodzaju są te inne?

— Nie wiem — wyszeptała niechętnie, jak gdyby żałując słów wypowiedzianych.

— Jakto? Nie wiesz?

— Wiem tylko, że to kraj straszny, z którego niegdyś przodkowie nasi wypędzeni zostali. Mój ojciec mówił, że nie radziłby nikomu tam się udać.

Nie potrafiłem nic więcej z niej wyciągnąć. Ale słowa te zastanowiły mnie. Biedna Eeys traciła tylko czas na próżno, wysilając się na zbawienne rady. Chociaż wyczerpany byłem i silnie zraniony, zbudziło się we mnie nagle szalone pragnienie zbadać tajemnicę, tej nadzwyczajnej planety i przysięgam sobie doprowadzić je do skutku. Rozmyślenia moje przerwane zostały nadejściem moich pocziwych Marsianów. Cisnęli się do mnie gromadnie, witając, całując po rękach i nogach jak zbawcę.

Byłem uwielbiany przez tych pierwotnych ludzi, jak „dobry król“ z bajek i legend starych.

To uwielbienie ich przebiegało się w każdym ruchu, w każdym słowie.

Opatrzyli starannie rany otrzymane od Erlooisów liśćmi z pelargonii, które jak wiadomo, mają wybitne własności lecznicze. Zamienili suknię moją podartą, z piór czerwonych i zielonych, na inną jeszcze wspanialszą, i pośpiesznie przynieśli na drewnianych tacach płyty pieczonego mięsa i stos owoców różnorodnych.

Z wielkim apetytem pochłonałem prawie wszystko w oczach moich Marsianów, przyglądających mi się z radością i uwielbieniem.

Eeys krajała mięso w drobne kawałki, napominając mnie, abym gryzł dobrze i popijał wodą dla lepszego trawienia.

Znajdowaliśmy się nad brzegiem dużej, rwącej rzeki, o której już wspominałem. Z gór znajdujących się naprzeciw mnie, a w których było podziemne schronisko Erlooisów, wydobywały się jeszcze przez rozpadliny kłęby czarnego, gęstego dymu, przepelnionego wstrętną wonią spalonych ciał.

Nie wątpiłem ani na chwilę, że wszystkie potwory musiały wyginąć co do jednego.

Ale myliłem się. Ujrzałem nagle jednego Erlooisa skaczącego, potem drugiego, skaczącego przez ten sam otwór, z którego ja spuścić się chciałem na spadochronie. Ale nie polecieł daleko. Z szalonym wyciem, oślepieni blaskami słońca, głową na dół opadli w szumiące fale rzeki, która szybko pociągnęła ich z biegiem.

Miejsce, gdzie Marsianie rozbili namiot, było prześliczne.

Była to polanka, otoczona wysokimi drzewami, położona nad samym brzegiem rzeki, posypanym różowym piaskiem. Liście drzew, tak, jak to zauważyłem we wszystkich strefach planety, które przebiegłem, nie miały prawie nigdzie zielonego koloru drzew ziemskich. Dawały całą gamę odcieni od najjaśniejszego do ciemnopomarańczowego. Do widoku tego w pierwszych dniach trudno mi było się przyzwyczaić.

Nie spotkałem tam brzoź naszych białych, dębów i leszczyny, tak obficie rosnącej w północnych krajach. Odmiany palm różnorodnych bananów tworzyły tu cudne gaje złote, miejscami o ciemniejszym odcieniu.

Był to wspaniały widok, jakby wyjęty z czarodziejkiej bajki.

Ziemia zaś pokryta była wysokim mchem fiole-towym, tak wielkim i uginającym się pod stopami jak najbogatszy perski dywan puszysty. Wzdłuż ścieżek rosły rdzawe krzewy kaktusów o złotych kwiatach i nieznane mi wielkie, pełne kwiaty, podobne do naszych tulipanów.

Las ten zmuszał do myślenia o fantastycznych i kapryśnych pejzażach Ariosty, o Atlancie, o Flo-rydzie, o wszystkich krainach marzeń, gdzie ongiś błakała się samotna myśl poetów, zranionych realizmem ludzi i rzeczy. Czynił on wrażenie czegoś cudnie pięknego, lecz nieuchwytnego i niematerialnego; odcienie jego były równocześnie zanadto przyćmione i zanadto bogate w przepyszny koloryt. drzewa rozrzucone z nieobliczoną jakąś fantazją, a przecież pełne harmonii w liniach.

Patrząc na to złudne zjawisko, mimowoli było się przygotowanym, że lada chwila pierzchnie ono z pod zachwyconych oczów.

Nie chcąc się dłużej zatapiać w rozmyśleniach, zwróciłem się do siedzącej obok mnie Eeys, pragnąc usłyszeć od niej, na jaki sposób wzięli się Marsianie, aby mnie wyratować z rąk Erlooisów.

Z radością opowiedziała mi cały przebieg wyprawy, dumna z tego bohaterskiego czynu swoich towarzyszy, u których brak odwagi i energii za dobrze znałem.

Było potrzeba coś rzeczywiście niezwykłego i wielkiego, aby ich wyrwać z tej apaty i bierności, w której dotąd żyli.

— Gdy nas opuściłeś — mówiła — zapadłam na jakiś czas w stan zupełnego odrętwienia. Myślałam, że ciebie już nigdy nie ujrzę i płakałam długie godziny.

Pozostaliśmy długo przy ognisku, które rozcaliliśmy jeszcze przy tobie i zdawało nam się już teraz, że ogień ten stracił swoją siłę i nie będzie nas mógł obronić przed nieprzyjaciółmi.

Spoglądaliśmy na siebie, zatopieni w bezbrzeżnej rozpaczy.

Ja pierwsza otrząsnęłam się i nabrałam odwagi. Oznajmiłam im, że pójdę za tobą sama, jeżeli oni nie zechcą i że nie mogę cię tak opuścić. Musiałam użyć wiele trudu, zanim ich ostatecznie przekonałam. Byli zupełnie oszołomieni, noc ich przestraszała i przekonanie, że zostaną napadnięci przez Erlooisów. Wyruszenie na poszukiwania za tobą wydawało im się rzeczą zupełnie bezużyteczną.

Tłomaczyli się także twoim formalnym rozkazem, zabraniającym im ruszać się z miejsca.

Potrafiłam ich jednak przekonać, wywołując przed ich oczami obraz nieszcześć, jakie na nich spadną, jeżeli pozwolą zginać swojemu dobroczyńcy i panu. Podsunęłam im nawet przypuszczenie, że wydany przez ciebie rozkaz był wydany może tylko w celu doświadczenia ich przywiązania.

Nareszcie zdecydowali się, uzbroili w pochodnie i ruszyliśmy w drogę.

Mogliśmy się udać z łatwością tą drogą, którą ty poszedłeś. Była to szeroka ścieżka piaszczysta, obsadzona z każdej strony wysokimi kaktusami; odciski twoich stóp na miękkim piasku były nam doskonałą wskazówką i broniły przed zmyleniem drogi. Przez dwie godziny szliśmy prędko, w ciągłej obawie, że pochodnie zagasną nam mogą.

Las był cichy i spokojny, nie ujrzelśmy dotąd ani jednej żywej istoty.

AUSTRO-DAIMLER

jazda Non-stop 1914 — Wyścig w Moskwie. — Raid Krakowskiego Klubu automobilowego.

Skład fabryczny dla Galicyi: w Krakowie, ulica św. Gertrudy L. 2, telefon 3434.
Garaż i warsztaty reperacyjne: w Krakowie, ulica Smoleńska L. 31, telefon 107.

Na składzie wozy różnych typów — gumy, oliwa, benzyna i wszelkie przybory.

automobile światowej sławy są **najpewniejsze, najlepsze, najelegantsze i najekonomiczniejsze.** — Ostatnie zwycięstwa: Austriacka jazda alpejska 1914 — Zachodnio-niemiecka